(N. 4.)

DZIENNIK WILENSKI

ROK 1827. KWIECIEN.

Dozwala się drukować. Dnia 18 kwietnia 1827 roku
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski Rzeczywisty Radzca Stanu i Kawaler.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

RYP van-WINKL,

Powieść gminna Waszingtona Irwinga, z dzieła: *The Skeetch book.*

Kto odbywał podróż rzeką Hudson, pamięta, zapewna, góry Katskil. Są one oderwaną gałęzią wielkiego Apalaszaskiego łańcucha, i ciągnąc się w dół rzeki ku zachodowi, wyniosłemi wierzchołkami wspaniale nad całą okolicą panują. Każda pora roku, każda zmiana powietrza, każda godzina nawet, zmienia ich kształt i koloryt czarujący; a wszyscy sąsiedni i oddaleni wieszczbiarze uważają je za barometr doskonały. Kiedy jasna trwa pogoda, ich postać, siniawą purpurą powleczona, w wyraźnych obrysach odbija się na letniém niebios sklepieniu. W innym czasie, kiedy tło nieba i blaskiem oświecone góry w jeden zlewają się widok, z ich wierzchołków występują mgły śniadawe, snują się w pasma, i płonąc ostatnim promieniem zachodzącego słońca, jakby wieńcem sławy otaczają ich czoła.

Podróżnik, rozważając sielski widok, od gór siniejących w dali żywą zielonością oddzielony, postrzega lekkie zwoje dymu, unoszące się ponad domami, których pokrycia z dachówek migają pomiędzy gęstemi drzewy. Jestto mała starożytna wioseczka, założona przez hollenderskich osadników, w pierwszych czasach zamieszkania tey okolicy, kiedy jeszcze dobry Piotr Stiuj Wesant (wieczny jemu pokoy) rządzić tu zaczynał. Rodziny pierwiastkowych założycieli dotąd ją zaymują, mieszkając w domach później

zbudowanych, z małych żółtawych cegiełek, z Hollandyi sprowadzonych.

W tey wioseczce, w jednym z tych domów (prawdę mówiąc, nie bardzo łatami oszczędzonym) mieszkał prosty syn przyrodzenia, na imie Ryp-van-Winkl. Byłto potomek van-Winklów, słynących z waleczności za rycerskich czasów Piotra Stiuj Wesanta i wspierających go podczas oblężenia twierdzy Krystyny. Ale Ryp nie wiele odziedziczył męztwa przodków swoich: jakem już powiedział, był on prostym, nie pragnącym znaczenia człowiekiem; z tém wszystkiém miał sławę dobrego sąsiada, uległego i posłusznego małżonka. Te przymioty, będąc zrzódłem łagodności, zjednały mu powszechne przywiązanie. Wszyscy ci, co w familiyném pożyciu zostają pod rządem domowey Megery, zawsze są usłużni i grzeczni dla obcych. Ich ponurość i nietowarzyskość, przetopione w hucie domowych swarów, zamieniają się w giętką uprzeymość, a jedno porządne wyłajanie częstokroć daleko mocniey skutkuje, niż wszystkie na świecie zachęcenia do łagodności i cierpliwości. Jeżeli więc gryźliwą żonę można nazwać pożyteczną mistrzynią, Ryp-van-Winkl w swojey do zbytku to szczęście znaydował.

Bydź może, że dla tego miał on wielką łaskę u wszystkich kumek sąsiadek, lubiących wdawać się w poróżnienia domowe. Nic im nie przeszkadzało podczas wieczornych schadzek, rozbierając sprawy tego rodzaju, zwalać całey winy na panią van-Winklową. Dzieci wioskowe wykrzykiwały z radości, kiedy Ryp przychodził: on do ich zabaw należał, przewodniczył

w igraszkach, puszczał papierowe żmije, wytaczał kaczałki, prawił bayki o strachach, duchach i Indyanach; a ledwie się w końcu ulicy pokazał, roje dzieci zbiegały się do niego, jedne czepiały się za poły, drugie mu na kark właziły, i rozmaite psoty wyrabiały bezkarnie. Żaden pies w wiosce nie szczekał nigdy na Rypa.

Naywiększą wadą w charakterze jego, był niezmierny wstręt ku wszelkim pożytecznym zatrudnieniom. Lecz to nie stąd pochodziło, żeby mu brakło cierpliwości albo wytrwania: częstokroć bowiem cały dzień przesiadywał na mokrym kamieniu z długą i ciężką, jak dzida tatarska wędą, czekając, azali choć raz jaka rybka nie targnie. Mógł on całe godziny włóczyć się ze strzelbą po lasach i bagnach, górach i wąwozach, żeby tylko ubić wiewiórkę albo dzikiego gołębia. Nigdy sąsiadóm w naytrudnieyszych robotach nie odmawiał pomocy: wesoło uwijał się na żniwie pszenicy, lub podczas zwożenia ciężkich kamieni do budowli; wszystkie kobiety z całey wioski miały go na zawołanie do posyłek, kiedy jakiey fraszki potrzebowały, a mniey powolni właśni mężowie tego uczynić nie chcieli. Słowem, Ryp gotów był pracować dla każdego, tylko nie dla siebie. Opatrywać zaś potrzeby swojey rodziny, albo swóy dóm w porządku utrzymywać, był mu to ciężar nad siły.

Powiadał on zawsze, że nie może dać rady ze swojém gospodarstwem, i w istocie gorszego w całey okolicy nie było. Wszystko tam szło nieporządnie albo wpadało w nieład mi-

mo jego woli. Rozwalały się ściany mieszkania. Krowy błąkały się po polu, gdzie która chciała, a jeśli były w domu, tratowały kapustę na ogrodach. Chwasty swobodnie krzewiły się na jego roli. Tym sposobem dziedzictwo Rypa przez niedbalstwo, schylało się do upadku. Ziemia tak zdziczała, że ledwo gdzie niegdzie można było zebrać kilka garści pszenicy lub trochę kartofli. Słowem chudszey fortunki w całém sąsiedztwie nie było.

Dzieci Rypa tak były dzikie i obszarpane, jak gdyby do nikogo nie należały. Syn jego, Ryp, kubek w kubek udał się do oyca, i jak się zdawało czynił nadzieję, że ze starém jego odzieniem i jego zwyczaje odziedziczy. Ochutany w łachman starego oycowskiego kaftana, który musiał przytrzymywać rękoma, zawsze się jak kurczę za plecami matki ukrywał.

Mimo to wszystko Ryp Van-Winkl, był jednym z owych szczęśliwych ludzi niedbałego i niewymyślnego charakteru, którym wszędzie dobrze: wszystko im jedno, czarny, czy biały chleb jedzą, byleby tylko dostawali go bez pracy i kłopotu, wolą oni pościć o jednym pennie (*) w kieszeni, niżeli na funt szterling zarabiać. Co do Rypa, sam jeden żyłby przyspiewując sobie; ale sekutnica żona ustawnie mu brzęczała nad uchem, że leniuch, że niedbalec, że cały dom zgubił. Rano, w południe, wieczorem, język jey był jak na kołowrocie, i biedny Ryp cokolwiek zrobił, cokolwiek powiedział, zawsze i za wszystko dostawał się pod wodospad płynney wymowy swojey żone-

(*) Drobna moneta angielska i amerykańska.

czki. Na wszystkie takowe nawracania do cnoty, miał on tylko jeden sposob odpowiedzi, i ten przez częste użycie w nałóg zamienił: to jest: zżymał ramionami, kiwał głową, poglądał zyzem i nie mówił ani słowa. To zazwyczay podżegało nowy wystrzał dobitnych słówek, i już wtenczas musiał zdobywać się na ostatek męztwa i uciekać za drzwi: bo też w podobnych zdarzeniach ten tylko środek posłusznym mężom zostaje.

Jedynym towarzyszem Rypa w domu był jego pies wolf, równie jak on uległy. Niemniey także i gospodyni uważała wolfa za wspólnika w lenistwie swojego męża; dla tego więc nie bardzo łaskawie poglądała na niego, jako na powod częstey Rypa włoczęgi; chociaż, prawdę mówiąc, żaden pies mniey od wolfa nie był straszny w mysliwskich gonitwach. Lecz jakież męztwo wytrzyma ciągłe i wszystko łamiące pioruny babskiego języka! Wolf, skoro tylko wchodził do izby, zaraz przypadał na łapy, spuszczonym ogonem bił o ziemię, albo podkurczywszy go, z błagającym wzrokiem, zdaje się jakby już o winę przekonany, podpełzał do pani; nakoniec odebrawszy kilka szturchańców miotłą lub warząchwią, skowycząc, jak oparzony, wyskakiwał za drzwi.

Im daley upływały lata małżeństwa, tym coraz gorzey było Rypowi. Czas nie miękczy twardego charakteru, a język ostry jestto jedyne w świecie narzędzie, które przez ciągłe używanie co raz się ostrzeyszém staje. Lecz Ryp przywykł uciekać z domu i szukać pociechy w pewném posiedzeniu filozofów, po-

lityków i tym podobnych próżniaków wioskowych, zasiadających ławki około jednego szyneczku postawione.

Tamto zazwyczay w chłodnym cieniu przepędzali długie, ociężałe dni lata, roztrząsając plotki sąsiadów, albo opowiadając nieskończone historye o tém, i o owém, i o niczém. Często polityka była przedmiotem ich rozmowy, i jeśli przypadkiem kto z podróżnych przyniosł im stare gazety, wtenczas głębokie uwagi ze wszech stron słyszeć się dawały. Z jakąż to uroczystą pilnością słuchali wszyscy, kiedy grzmiącym głosem czytał je bakałarz szkołki Derrik-van-Bummelen, maleńki, krępy człowieczek. Jak rozsądnie i mądrze przepowiadali, że to lub owo, tak i tak stać się musi, a to już przed kilką miesiącami inaczey się stało.

Powszechne zdanie tey junty zawsze czekało ostatniego wyroku Mikołaja Weddera, patryarchy wioski, gospodarza szyneczku, który nie daleko drzwi swojey gospody przesiadywał zwyczaynie od wczesnego ranku aż do późnego wieczora, i ciągle unikając słonecznych promieni obracał się razem z cieniem stojącego przed domem rozłożystego drzewa.

Ten ruch był tak regularny, że patrząc na niego, równie jak z naylepszego kompasu, można było zgadywać godziny. Rzadko wprawdzie słyszano głos Weddera, lecz jego kilka słów zastępowała wszystkie słowa; a jego zausznicy, na których wielkim ludziom nigdy nie zbywa, umieli poymować doskonale, jakie tém narzędziem ogłaszał zdanie. Jeśli to, co czytano lub mówiono, nie podobało się Mikołajo-

wi, mocno rozpalał tytuń i częstém pykaniem rzucał daleko ciemne obłoki dymu; kiedy zaś co zasługiwało na jego uwagę, wtenczas zwolna i łagodnie ciągnąc lekki dymek, wypuszczał światłe wężyki: czasem cybuch z ust wyymując pozwalał lubey woni swobodnie snuć się około nosa i kiwaniem głowy oznaczał zupełne potwierdzenie.

Nakoniec i w tém czcigodném zebraniu kłóciła biednego Rypa swarliwa żona. Często wpadając naruszała spokoyność całego towarzystwa i szanownych członków pozdrawiała imieniem wałęsających się próżniaków. Samemu nawet poważnemu Mikołajowi Wedderowi nie przepuścił język tey straszliwey baby, bez naymnieyszego względu nazywała go wspólnikiem i przyczyną mężowskiego hultaystwa.

Biedny Ryp prawie do rozpaczy został przywiedziony, jeden środek uniknienia domowey roboty i wrzasku żony, był ten: wziąć strzelbę i tułać się po lesie. Tam nie raz usiadłszy pod drzewem dzielił się z wiernym wolfem zapasem swey torby. Poczciwy pies pobratał się z nim niejakoś przez spólnictwo cierpień i prześladowania. „Biedny Wolf!“ mówił Ryp — „Twoja pani dała ci poznać prawdziwie psie życie; ale nie bóy się nieboraczku, póki ja żyję, ty masz przynaymniey szczerego przyjaciela!“ Wolf, ruszał ogonem, wyrozumiale i łagodnie patrzał w oczy panu, i jeżeli pies podzielać uczucia może, to zapewna wolf całém psiém sercem, był wzajemnym Rypowi.

Pewnego razu włócząc się przez cały dzień jesienny, Ryp nie postrzegłszy się prawie, za-

wędrował na jeden z naywyższych wierzchołków grzbietu Katskil. Długo częstemi wystrzałami mięszał ciszę tey ustroni, zmordowany wreszcie stanął na zieloney płaszczyznie urwiska góry nad przepaścią zawieszonego. Ztamtąd pomiędzy gęste drzew konary wykradał się wzrok na wiele mil całey pochyłości lasami pokrytych okolic Hudsonu, i sam Hudson płynący, spokoynym, ale okazałym biegiem, dawał się widzieć w oddaleniu. W jego kryształach powtarzał się blady szkarłat nieba, lub gdzie niegdzie biały żagiel statku, jakby drzémiącego na zwierciadlaney powierzchni, która ginęła pomiędzy siniawemi górami.

Z drugiey strony przedstawiała się oczóm u spodu gór dzika, samotna dolina, zasiana gruzami skał nad nią wiszących i tylko odbitym blaskiem zachodzącego słońca słabo oświecona. Ryp bawił się tak pięknemi widokami, a tymczasem wieczór coraz się przybliżał: już szare cienie od gór rzucone długiem pasmem przeciągnęły się na doliny, a jemu jeszcze daleko było do wioski. Westchnął wspomniawszy, że wkrótce znowu się rozpoczną jego katusze.

Z tém wszystkiem, zabierał się iść ku domowi; lecz zaledwo co zaczął spuszczać się na dół, jakiś głos nie zbyt oddalony zawołał na niego. Ryp spóyrzał na około i niepostrzegłszy nikogo oprócz kruka, lecącego swoją samotną drogą przez góry, pomyślał, że się mu przysłyszało i już chciał ruszać daley, kiedy znowu tenże sam głos powtórzył się w wieczornéni powietrzu: „Ryp-van-Winkl! Ryp-van-Winkl!“ Wolf, szerść najeżył, zawarczał głucho, i prze-

lękniony tuląc się do pana dziko poglądał na dolinę.

I sam Ryp strwożył się natenczas, a rzuciwszy wzrok w tymże kierunku postrzegł osobliwszą postać ludzką, z jakimś cięžarem na schylonym grzbiecie, zwolna przebywającą skały. Widok człowieka w tak samotney i niedostępney dolinie zadziwił Rypa, lecz wnosząc sobie, że to może który z sąsiadów wzywa go na pomoc, spiesznie pobiegł ku niemu.

Skoro się zbliżył, jeszcze go bardziey zdziwiła szczególna powierzchowność nieznajomego. Był to nizki pleczysty staruszek z gęstym kędzierzawym włosem i siwą brodą; ubior miał staroświecki holenderski — Kaftan sukienny, pas na kamzelce, dwoje spodni, a z tych wierzchnie niezmiernie szerokie, rzędami guzików po bokach i sprzążkami u kolan osadzone. Wędrownik niosący na barkach dużą i jak się zdawało, pełną beczułkę, dał znak Rypowi, żeby się przybliżył i pomógł mu dzwigać ten cięžar.

Chociaž nie z wielkiém zaufaniem, jednak ze zwyczayną sobie dobrocią, Ryp spełnił to żądanie, i tak wspierając jeden drugiego szli daley wązką rozpadliną, zapewna biegiem strumienia poźniey wyschłego utworzoną. Kiedy już spuścili się na doł, często dawał się słyszeć głuchy turkot, podobny do oddalonego grzmotu, i jak się zdawało wychodzący z ciasnego wąwozu, dokąd prowadziła ich kręta i niewygodna droga. Ryp, chcąc się lepiey przysłuchać, zatrzymał się na chwilę, ale wkrótce pomyslił sobie, że zapewna deszcz peryodyczny, często w górach spadający, szmer ten sprawu-

je, i ruszył daley. Przebywszy rozpadlinę znalezli się na płaszczyznie, podobney do amfiteatru, otoczonego stromemi przepaściami, u brzegu ktorych wiszące drzewa, tak gęsto splatały swoje gałęzie, że wzrok, zewszech stron zamknięty, widział tylko niebiosa i czyste wieczorne obłoki.

Towarzysze drogi ciągle milczeli i Ryp miał dosyć czasu zastanawiać się nad tém, dla czego nieznajomy niesie pełną beczułkę w tak puste ustronie. Dziwna ta i niepojęta czynność przejęła go jakąś trwogą i nieufnością.

Skoro wszedł na amfiteatr, nowe i również zadziwiające przedmioty uderzyły wzrok jego. Po środku na gładkiey płaszczyznie towarzystwo ludzi podżyłych bawiło się grą w kręgle. Wszyscy byli w jakimś cudzoziemskim stroju: jedni w kamizelkach, drudzy w kurtkach z długiemi kordelasami u boków, a wielu z nich, podobnie, jak jego przewodnik, mieli spodnie nieźmiernie szerokie. Ich fizyonomie nie mniey się szczególnością odznaczały. Jeden miał głowę ogromną, gębę szeroką, i małe świnie oczy. Cała twarz drugiego zdawała się bydź samym tylko nosem, wyglądającym zpod kołpaka do głowy cukru podobnego i ubranego w pióra kogucie. Wszystkich zdobiły brody rozmaitego kształtu i koloru. Nizki, zgarbiony wiekiem staruszek, w kamizelce sznurkami naszywaney, z kordelasem u szerokiego pasa, w wysokim z zagiętemi brzegami kapeluszu, w czerwonych ponczochach i w trzewikach z kokardami na wysokich korkach, zdawał się bydź naczelnikiem całey gromady. —

Dziwne te osoby wydały się Rypowi figurami ze starego flamandzkiego obrazu, który jeszcze podczas pierwszego zakładania osady z Hollandyi przywieziony, dotąd w wielkiey Izbie Dominika van-Szeka, jednego z mieszkańców wioski, wisiał na ścianie.

Lecz to naybardziey zadziwiało Rypa, że wszyscy ci ludzie z widoczném upodobaniem bawiący się kręglami, ciągle mieli poważne twarze i uroczyste zachowywali milczenie — Nigdy zapewna Ryp nie widział tak smutney graczów gromady. Nic nie przerywało ciszy, oprócz huku kul kręglowych, a odgłos w górach powtórzony czynił go podobnym do głuchego grzmotu.

Kiedy Ryp ze swoim towarzyszem zbliżył się do nich, natychmiast wszyscy grę porzucili i poglądali na niego tak obłąkanym, tak dzikim i martwym wzrokiem, że się biednemu Rypowi serce przewróciło i kolana jedno o drugie stukały. Starzec ze swojey beczułki na'oczył trunku w obszerne kufle i dał znak Rypowi, żeby wypił razem z drugimi. Ryp spełnił to ze strachem i drżeniem; wszyscy także w głębokiém milczeniu wychylili swoje czary, i znowu do gry wrócili.

Zwolna trwoga i nieufność Rypa zmnieyszać się zaczęły i nawet, kiedy na niego nie patrzono, przylewał sobie napoju, który mu wytrzonie smakował. Miał on skłonność do zgagi, dla tego musiał często odwilżać gardło, a w takowym razie każde łyknienie drugie za sobą pociąga. Nakoniec Ryp tak często zaczął całować się z kuflem, że się jego zmysły o-

durzyły, oczy jakby pływały po całey przestrzeni, głowa coraz się mocniey chwiała, i niedługo zasnął snem twardym.

Gdy się ocknął, znalazł się na teyże samey łączce skąd poraz pierwszy postrzegł starca idącego dołem — przecierał oczy — pozierał na wszystkie strony. Ranek był prześliczny. Ptaszki śpiewając snuły się pomiędzy krzakami w świeżém gór powietrzu.

„Zapewna"—myślał Ryp—„nie całą noc tu przespałem." Przypominał wszystkie okoliczności, sen poprzedzające: dziwnego człowieka z beczułką napoju, rozpadlinę góry, dzikie i samotne mieysce między skałami, nieszczęśliwą grę w kręgle, kufel—„oh ten kufel, przeklęty kufel!" pomyślił sobie— „jakże się teraz wykręcę przed żoną?"

Obeyrzał się na strzelbę— lecz zamiast piękney oczyszczoney ptaszynki, znalazł przy sobie jakąś starą rusznicę, z zardzewiałą rurką, z odpadłym zamkiem i z łożą prawie zupełnie spróchniałą. Podeyrzenie padło na poważnych górali, że zapewna oni wypłatali mu tego figla i podpoiwszy zamienili strzelbę. Wolf zginął także; ale ten może się gdzie za wiewiórką lub kuropatwą zagonił. Ryp gwizdał, wołał go po imieniu, napróżno: echo tylko przedrażniało głos i gwizdanie, a pies nie przybiegał.

Przedsięwziął więc obeyrzeć mieysce, kędy wczora przechodził, i jeśli mu się zdarzy spotkać którego z graczów, dopomnieć się o swego psa i strzelbę. Kiedy w tym zamiarze wstawał z ziemi, poczuł, że wszystkie jego członki były jakby otrętwiałe, wszystkie sustawy nie miały

giętkości przyzwoitey — „Górna pościel nie bardzo mnie służy" pomyślił sobie „i jeśli te żarty to zrobią, że będę musiał kilka dni w domu przesiedzieć, nasłucham się pięknych słówek od mojey żoneczki" — Z trudnością dostał się na dolinę; lecz jakże się zadziwił, widząc koryto kędy wczora towarzysz jego prowadził, napełnione strumieniem płynącym z góry. Szmer wody bystrym pędem spadający ze skały na skałę rozlegał się po całey dolinie. Ryp jednak spełzł aż do samego brzegu strumyka, przedzierał się przez gęste krzaki leszczyny i brzozy, często się potykał, nie raz stawał uwikłany w wiotkie gałązki dzikich winogron, które wijąc się od drzewa do drzewa jak siecią przegradzały mu drogę, i nakoniec przybył do kresu, gdzie rozpadlina powinna była od koryta ku amfiteatrowi prowadzić. Ale nie znalazł żadnego śladu, ni rozpadliny, ni ścieszki: wąwóz kończył się nagle głęboką jamą, przez którą silnym wodospadem potok przebiegał i rzucając śnieżyste piany, upływał do obszerney sadzawki, oczernioney cieniem drzew nadbrzeżnych. Tu więc biedny Ryp zatrzymać się zmuszony, znowu gwizdał i na psa wołał; lecz mu tylko odpowiadało skrzetanie srok, zlatujących z suchego drzewa, pochylonego nad przepaścią, blaskiem słonecznym oświeconą. Ptaki te, z bezpieczney wysokości poglądając na dół zdawały się naygrawać ze zgryzot stroskanego Rypa. Cóż było począć? Przyszedł ranek i Ryp bardzo czuł potrzebę śniadania, żałował i psa i strzelby, i lękał się burek od żony; z tém wszystkiém pościć między górami było nie wygodnie: poki-

wał głową, zarzucił na plecy zardzewiałą strzelbinę i z sercem pełném goryczy ruszył do domu.

Zbliżając się ku wiosce postrzegał wielu ludzi, ale zupełnie sobie nieznajomych. To go mocno zadziwiło, gdyż w całey okolicy nie było nikogo, kogoby on nie znał. Kroy ich ubioru podobnież obcym się jemu wydawał. Wszyscy bez wyjątku spoglądając na niego chwytali się za brody. Ryp widząc takowe rąk poruszenia, mimowolnie prawie toż samo uczynił, i z niezmierném podziwieniem znalazł, że jego broda wyrosła na całe pół łokcia.

Nakoniec, kiedy wszedł do wioski, gromada chłopców nieznajomych popędziła się w ślad za nim, z krzykiem dziwując się jego siwey brodzie. Psy nie te, co były z nim poznajomione, szczekały nań z każdego domu; sama wioska nawet, zmieniła się niezmiernie: stała się daleko obszernieyszą i ludnieyszą, rzędy nowych domow, jakich dotąd tu nie widział, zaymowały mieysce jego oczom znajomych. Zupełnie obce nade drzwiami napisy, obce twarze w oknach, słowem: wszystko było dziwne, wszystko niepojęte. Biedny Ryp stracił głowę, myślał, że i on, i cokolwiek go otaczało zostało oczarowane. Niewątpliwie poznawał rodzinną osadę, z którey się wczora oddalił. Na témże mieyscu wznosiły się góry Katskil; srebrzysty Hudson płynął w teyże odległości, każdy pagórek stał na témże mieyscu, co i wprzódy. Ryp zgoła nie wiedział co czynić— „Ten kufel" myślił sobie „djabelnego wyrządził mi figla przeszłey nocy.

Nie łatwo znalazł drogę do własnego domu, i z tajemną bojaźnią zbliżał się ku niemu spo-

dziewając się co chwila usłyszeć wrzaskliwy głos Mistress van-Winklowey. Lecz cóż zobaczył? dóm rozwalony, dach zapadły, pobite okna, drzwi z zawiasów zerwane: chudy pies, podobieństwo wolfa, leżał na progu. Ryp zawołał go po nazwisku, ale pies zawarczał, pokazał zęby i uciekł z domu. To już było ostatnie nieszczęście „I móy pies kochany" mówił Ryp z westchnieniem „i ten mię zapomniał!"

Wszedłszy wewnątrz domu, który (słuszność oddać należy) żona Winkla zawsze w porządku utrzymywała, znalazł same pustki, zawalone gruzami i poznał niezawodnie, że mieszkanie było opuszczone. Podziwienie, jakie ogarnęło Rypa, kiedy postrzegł dom swóy zniszczony, zwyciężyło w nim strach małżeński: głośno zawołał żony i dzieci: puste komnaty głos jego powtórzyły; lecz natychmiast znowu powszechne wróciło milczenie.

Wyszedł z domu i dążył do przybytku swojey pociechy—do szyneczku; ale i ten zniknął także! Na jego mieyscu stała wielka drewniana budowa z obszernemi oknami. Niektóre szyby wybite zasłaniały stare kapelusze lub podarte spodnice, a nade drzwiami było napisano: *Hotel związkowy, utrzymuje Dżonatan Dulitl.* Na mieyscu pięknego drzewa, ocieniającego niegdyś starożytny szyneczek hollenderski, stała utkwiona w ziemię wysoka tyczyna, mająca na wierzchu coś podobnego do czerwoney szlafmicy, zpod którey winęła się chorągiew z namalowanemi jakiemiś gwiazdami i włosami; wszyko to było obce i niepojęte Rypowi — Poznał jednakże tablicę z godłem nad sieniami, gdzie

tylekroć palił swoję lulkę spokoyny; ale wszystko miało postać dziwnie zmienioną, i u spodu tablicy, wielkiemi literami umieszczony napis: *Jenerał Waszington.*

Tam podobnież, jak dawniey około drzwi, było mnóstwo ludzi; ale z nich Ryp nie znał żadnego. Zmienił się sam nawet charakter narodowy: zamiast nałogowey flegmy i ospałey spokoyności, dawał się słyszeć spór żwawy. Próżno Ryp poglądał na wszystkie strony, czy nie postrzeże gdziekolwiek mądrego Mikołaja Weddera z szeroką twarzą, z dwupiętrowym podbrodkiem, z długą ozdobną lulką, puszczającego chmurki dymu, zamiast próżney gawędy; albo bakałarza van-Bummelema, rozdymającego płuca, dla przeczytania starey gazety. Na ich mieyscu wyschły żółtawy człowiek, z pełnemi kieszeniami wiadomostek, rozprawiał o przywilejach obywateli, o wyborach, o członkach kongressu, o zwycięzcach siedmdziesiąt szóstego półku, i o tym podobnych rzeczach; a wszystkie te słowa zdawały się bydź językiem babilońskim zdziczałemu Ryp van-Winklowi.

Przybycie siwobrodego Rypa z zardzewiałą strzelbą, w obdartém odzieniu, gonionego w ślad przez tłumy bab i dzieci, ściągnęło uwagę polityków traktyerowych: zaczęto go ostępować do koła i z nadzwyczayną ciekawością przeglądać od nóg do głowy. Mówca gromady, odprowadziwszy go na bok, zapytał pocichu, do którey strony należy — Ryp wytrzeszczył oczy na to zapytanie.

Drugi, małego wzrostu chłopak, wziął go za rękę i wspiąwszy się na palce, szepnął mu do

ucha „Czy jesteś Demokratem, czy Federatem?" To jeszcze bardziey odurzyło Rypa: zupełnie nie wiedział, co miał odpowiedzieć. Tymczasem jakiś niemłody człowiek w ostrokątnym kapeluszu, na prawo i na lewo rozsuwając tłum łokciami, przecisnął się do Rypa, i z miną poważną stanąwszy wprost naprzeciw jego, oparł jedną rękę na swoim kłębie, a drugą na lasce. Ostry rog kapelusza i ostry wzrok poważnego człowieka, zdawało się, że chcą na wskróś przeniknąć duszę Rypa. Zapytał go zaraz, dla czego ze strzelbą przyszedł na obrady i przyprowadził za sobą tłum ludu, jakby w zamiarze zbuntowania wioski — „Ach móy panie! zawołał Ryp lękliwie, jestem biédny i spokoyny człowiek, tuteyszy rodem, i wierny poddany Króla, day Boże mu zdrowie.

Natychmiast wszczął się krzyk powszechny „Szpieg! precz, precz, wypędzić go! Nakoniec mąż poważny w tróygraniastym kapeluszu, uśmierzył zgromadzenie z niemałym trudem, i znowu przyjąwszy minę surową, marszcząc brwi, zapytał obwinionego, zkąd przychodzi i kogo szuka. Nieborak uręczał pokornie, że nie myślał wzbudzać naymnieyszego zamieszania, i wstąpił tu jedynie chcąc znaleźć kogokolwiek z sąsiadów, bywających w traktyerze— „Dobrze więc, cóż oni za jedni, wymień ich po nazwisku"— Ryp pomyślał trochę, i zapytał gdzie Mikołay Wedder.

Kilka chwil trwało milczenie, lecz wkrótce jeden staruszek odezwał się mocnym głosem:— „Jakiego chcesz Weddera, już temu lat ośmnaście, jak on umarł i pochowany. Tam na cmen-

tarzu stała deska z nagrobkiem dla niego, ale i ta spróchniała i upadła."

—„A gdzie Brom Holender?....

„O! on poszedł do woyska na początku woyny — Powiadają, że został ubity przy oblężeniu Stoney Pointa; drudzy zaś mówią, że jakoby utonął podczas potyczki u przylądka Antoniusza. Wreszcie nie wiém, tylko nigdy tu niepowracał."

—„No, to gdzież jest nauczyciel van-Bummelen? „On także poszedł na woynę, był wybornym jenerałem milicyi, i teraz jeszcze jest na Kongressie.

Rypowi serce zamarło, skoro się dowiedział, jakie przemiany zaszły z jego domem i znajomymi — I tak więc został sam jeden na świecie! Każda odpowiedź zadziwiała go wzmianką o tak długim przeciągu czasu, albo wyrażeniem, którego on zgoła nie poymował: woyna—Kongres—Stoney Point;— zabrakło mu już odwagi, żeby mógł jeszcze o kimkolwiek zapytać; nakoniec, prawie w rozpaczy, zawołał: „a czy zna tu ktokolwiek Ryp van-Winkla?"

—„O! Ryp-van-Winkla! odezwało się kilku razem — „jakże go nie znać, otoż on siedzi pod drzewem."

Ryp obeyrzał się i postrzegł w istocie swoją postać, jaką miał wtenczas, kiedy ostatni raz szedł na polowanie — zupełnie tak leniwą i obdartą — Teraz biedak stracił przytomność do reszty, i zaczął powątpiwać o sobie, czy rzeczywiście żyje, albo czy nie przemienił się w innego człowieka.

W tey chwili właśnie, poważny człowiek w tróykątnym kapeluszu, zaczął znowu zadawać pytania.

—„Ktoż ty jesteś i jak się nazywasz?"

„A Bóg wié — zawołał Ryp— „Jest to dzieło jego naywyższey mądrości — Już ja nie jestem sam sobą; jestem kimś innym — Tam jest jakiś ja — nie, tam ktoś inny, tylko w mojey postaci. Ja byłem ja przeszłey nocy, lecz zasnąłem w górach, zamieniono mnie strzelbę i wszystko się przemieniło, i jam się sam przemienił— Nie wiem jak się nazywam i kto jestem.

Widzowie zaczęli poglądać się nawzajem, kiwać głowami i mrugać oczyma jedni do drugich. Wielu z nich przytknęli sobie palce do czoła. Powstało szeptanie, jakimby sposobem dostać w ręce tę strzelbę, żeby starzec nie narobił z nią licha; a tymczasem poważny mąż w tróykątnym kapeluszu, słysząc podobne obawy, zręcznie zamieszał się pomiędzy tłumem.

W tey krytyczney chwili z drugiey strony zdrowa i krępa kobieta przeciskała się, żeby zobaczyć człowieka z siwą brodą. Trzymała owa na ręku brudnego chłopczyka, który widokiem starca przelękniony, zaczął krzyczeć z całey siły — „Cicho Ryp, cicho „ — mówiła kobiéta — „a nie, to ciebie oddam starcowi"

Imie dziecka, postać matki, dźwięk jey głosu, wszystko to w wyobraźni Rypa szereg wspomnień obudziło — „Jak tobie imie moja niewiasto?„ — zapytał u niey.

— „Judyta Gardenier.

„A imie twojego oyca?

—„Ach biedny człowiek! — nazywał się Ryp-van-Winkl. Już temu lat dwadzieścia, jak poszedł ze strzelbą w góry, i odtąd ani słychu o nim, pies jego sam jeden powrócił, i Bóg wié,

czy się on zastrzelił, czy go Indyanie porwali — nikt tego nie doszedł — Ja wtenczas byłam maleńką dziewczynką.

Rypowi zostawało jedno jeszcze pytanie: wymówił je głosem drżącym. „Gdzież twoja matka?„

—„O! ona wkrótce potym umarła — Pękła jey żyła sercowa ze złości na jednego Nowo-Angielskiego kramarza.

To była nakoniec kropla pociechy pomiędzy mnóstwem nowin boleśnych — Dobry Ryp nie mógł dłużey wytrzymać, chwycił córkę i jey dziecię w swoje objęcia. — „Ja jestem wasz oyciec, — zawołał — niegdyś młody Ryp-van-Winkl, a teraz starzec — Czy zna ktokolwiek Ryp-van-Winkla? "

Wszyscy stali w zadumieniu, jedna staruszka wydobywszy się z tłumu, i przypatrzywszy się jemu zpod dłoni, poznała go zaraz i krzyknęła: „pewno, pewno, to Ryp-van-Winkl, to on sam — Jak się masz dobry sąsiedzie, gdzieżeś ty był przepadł na te lat dwadzieścia?

Ryp natychmiast opowiedział historyą, jak się mu lat dwadzieścia jedną nocą wydały.

Sąsiedzi słuchali go z podziwieniem; niektórzy mrugali jeden do drugiego, wypychając gębę językiem i uśmiechając się dwuznacznie. I sam nawet poważny człowiek w tróykątnym kapeluszu, powróciwszy na scenę, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zmienił surowy wyraz swojey twarzy, uśmiechnął się i kiwnął głową; za nim — kiwnął też każdy po kolei.

Uradzono wszakże czekać zdania starego Piotra Fanderdonka, który w oddaleniu pokazał

się na drodze i powoli zbliżał się ku zebraniu. Był to potomek historyka tegoż nazwiska, piszącego niegdyś naypierwsze dzieje tego kraju. Piotr, wiekiem naystarszy w całey wiosce, wiedział na pamięć wszystkie zdarzenia i podania okolicy. Poznał on Rypa od razu, i rzetelność jego historyi naydokładniey usprawiedliwił, ręczając całe zgromadzenie, że w samey rzeczy góry Katskil obfitują w istoty cudowne, i wątpić nie można o prawdziwości podania, że duch wielkiego Henryka Hudsona, pierwszego wynalazcy tey rzeki i krainy, zawsze co lat dwadzieścia na pełni xiężyca, utrzymuje w górach z ludźmi swojego statku, pewny rodzay straży; ma pozwolenie odwiedzać mieysca przez siebie odkryte, i opiekuńczém okiem czuwać nad rzeką, oraz nad miastem, od swojego imienia nazwaném; że oyciec jego Fanderdonk, widział pewnego razu Hudsona i jego ludzi, w osobliwszych holenderskich ubiorach, grających w kręgle, na dolinie między górami, i że sam Piotr Fanderdonk słyszał jednego wieczora latem, torkot kul taczanych, zupełnie podobny do oddalonego grzmotu.

Roztrząsnąwszy dokładnie przygody Rypa, rozeszła się gromada, i udano się do ważnieyszych czynności obrad. Córka Rypa przyjęła go do swojego wygodnego i dobrze zagospodarzonego domku, a Ryp poznał, że jey mąż był jednym z tych maleńkich sowizdrzałów, co nayczęściey wdrapywali się mu na plecy. Co się zaś tycze syna i następcy Rypa, jak dwie krople wody do oyca podobnego, o którym wyżey była wzmianka, kiedy leżał pode drzewem,

ten chociaż pracował około roli u swojey siostry, zawsze jednak trzymał się dziedziczney po oycu skłonności, robienia dla wszystkich, tylko nie dla siebie.

Ryp wziął się znowu do dawnieyszych przechadzek i nałogów. Wkrótce znalazł wielu przyjaciół, lecz już wywiędłych i obarczonych latami, dla tego więc chętniey przestawał z ludźmi nowego pokolenia, i prędko pozyskał zupełne u nich zaufanie.

Niemając doczynienia w domu, i będąc już w tym wieku, kiedy można wszystko robić bezbronnie, Ryp zawojował sobie mieysce na ławie przy drzwiach traktyeru, i był uważany za naystarszego w wiosce: za kronikę żyjącą dawnych poprzedzających woynę czasów. Nie prędko jednakże mógł przyjąć udział w powszechnych sprawach i rozmowach: bo nie łatwo oswajało się z niemi jego pojęcie, nieobecne powszechnemu biegowi rzeczy przez długi przeciąg uśpienia. Jakim sposobem wybuchnęła woyna i uczyniła Amerykę od starey Anglii niezaległą, jak on zamiast poddanego Króla Jerzego III. zaczął nazywać się obywatelem Stanów Zjednoczonych, to go mało obchodziło. Takie zmiany w społeczności mało działały na jego polityczne wyobrażenia. Jeden był tylko kształt rządu, na który on szemrzał — panowanie żony; lecz to skończyło się, chwała Bogu, i uwolniony od jarzma małżeńskiego, mógł już swobodnie wędrować, gdzie się mu podobało, bez obawy języka pani van-Winklowey. Z tém wszystkiém, jeśli czasem przy nim wspomniano jey imie, według starego nałogu zżymał ramio-

nami, kiwał głową i pozierał zyzem. Jedni uważali to za znak pokorney uległości losowi; drudzy mniemali, że to wyrażało radość z oswobodzenia.

Ryp opowiadał swoją historyą każdemu cudzoziemcowi, odwiedzającemu traktier Dulintla. Spoczątku co raz odmieniał niektóre okoliczności zdarzenia, może dla tego, że był ze snu; nakoniec ustalił się na tém co w tey powieści powtórzono, i to umieli na pamięć wszyscy mieszkańcy okoliczni, baby i dzieci. Niektórzy powątpiéwali o rzetelności zdarzenia, uważając Rypa za człowieka pomieszanego umysłu i szczególnie bredzącego w tym przedmiocie. Jednakże wszyscy holenderscy osadnicy wierzyli temu zupełnie przez łatwowierność pospólstwu właściwą. *F. W.*

BATYR (*) *Ballada.*

I.

„ Krasawico czarnooka,
Wyydź z gospody, witay nas;

(*) U Czerkiesów i innych koło Uralu narodów, jeśli jest kilku starających się o dziewczynę, i w wyborze zachodzi jaka trudność, ta siada na konia, ucieka, a kto ją dogoni i za ramie wstrzyma, ma pierwsze prawo do jey ręki, wówczas płaci kołym, (t. i. posag, który Pan młody daje rodzicóm Panny młodey) i dziewczynę zaslubia. Są nadto igrzyska, gdzie podobnież dziewczyna na koniu ucieka, lecz tam zwycięzcę nie ona ale jaki iś dar nadgradza. Kto się wsławi w gonitwach podobnego rodzaiu, zowie się Batyrem, i ma prawo nosić zbroię, zrobioną z żelaznych kołek. Czerkiesowie żyią w wielożeństwie.

Wiersz tey ballady iest miarowy, zwrótka szesnasto wierszowa, wszędzie ma trocheie, tylko w każdym drugim i czwartym wierszu na końcu iest amfimacer.

Słońce świeci już z wysoka,
Do przegonów czas już czas!
Koń gotowy czeka w progu,
Uchem strzyże, rży i rwie się.
Wyydź! nad rzeką po rozłogu
Jak motylka cię uniesie.
O! niech leci skrzydłem ptaszka,
Niech cię gonią tłumy młodzi,
Lot ten fraszka, tłumy fraszka,
Gdy mię ręka twa nadgrodzi.
Nikt piérwszeństwa mieć nie będzie,
Ja naczelny w tym przegonie!
Lecz ty cofay konia w pędzie,
Chwilką prędzey cię dogonię!

II.

„Tką mi w domu żony młode,
Z greckich, z zauralskich stron,
Chwalą krasę i urodę
Każdey z branek, każdey z żon.
Wszystkiem wygrał na przegonach,
I ty, droga, będziesz moją.
Gdyż, oh!, klnę się z *kołek zbroją*,
Niema w brankach ani w żonach,
Twojcy krasy, wdzięku twego.
Dziś rodzicóm *kołym* płacę,
Będziesz panią domu mego;
Dozorując branek prace,
W wieczor, kiedy reszta przędzie,
Szczęsna uśniesz na mym łonie!
Wyydź, spiesz, cofay konia w pędzie,
Chwilką prędzey cię dogonię.

III.

„Wierz mi, wierz mi, moje życie,

Błogi ciebie czeka los.
Chatka moja na gór szczycie,
Koło chatki dziki wrzos,
Daley stepy i wąwozy,
Daley zarośl pastwisk pełna;
Moje owce, moje kozy,
Długa, miękka srebrzy wełna.
Tam to, gdy mgły las powleką,
Przy xiężyca bladem świetle,
Cicho podpłynąwszy rzeką,
Szyje wrogów chwytam w petle,
Lub czatuję na łabędzie,
Lub ujeżdżam dzikie konie.
Wyydź, spiesz, cofay konia w pędzie,
Chwilką prędzey cię dogonię.

IV.

„Kiedy wrogi lub upały
Z naszych nas wygonią chat,
Gdy przez góry, stepy, skały,
Jak świat wielki idziem w świat;
Spytay jak tam głośno słynę,
Powie każdy ci wędrowiec.
Kto wypuszcza na dolinę
Sto baranów, tysiąc owiec?
Czyja strzała wprzód dogoni
Orła ginącego oku?
Czyja piosnka miley dzwoni
O świtaniu i o zmroku?
Ja to, ja to pierwszy wszędzie,
Szczęście niosę przyszłey żonie.
Wyydź, śpiesz, cofay konia w pędzie,
Chwilką prędzey cię dogonię.

V.

„ Wyydź już, piękna, wyydź już chyżey,
Czarném okiem witay nas!
Słońce idzie coraz wyżey,
Do przegonów mija czas.
Wre w nas wszystkich chęć do biegu,
Silnie serce bije w łonie.
Jak wiatr goni tuman śniegu,
Tak za tobą ja pogonię.
Jak się tuli ptak do błonia,
Lot sokolich skrzydeł czując,
Tak przytulisz się do konia
Ciepły oddech z ust mych czując;
Twarz ci gładka wstydem spłonie,
A ja w nayszczęśliwszych rzędzie!
Wyydź, śpiesz, cofay konia w pędzie
Chwilką prędzey cię dogonię! «—

VI.

—»Dość Batyrze, tych przechwałek,
Ktoś z Czerkiesow młodych rzekł;
Smiałyś, lecz nie jeden śmiałek
Obok z tobą będzie biegł,
Równym jak ty ogniem grzany.
Trudno tobie w biegu sprostać,
Lecz traf nieraz niespodziany
Zmienia szczęsną rzeczy postać.
Zmierz ten rozłog, zmierz oczyma,
A nie ufay w siły rącze!
Nuż cierń suknie twoje wstrzyma,
Nuż ta trawa bieg twóy splącze,
Nuż się noga ci pośliznie,
A odeydziesz w wstydzie, w żalu.

Choć jak *Buran* (*) po Uralu
Tak ty gonisz po płaszczyznie !—«

VII.

Wyszłaś przecie krasawica,
Czerkies w trąbkę hasło grał;
Koń jak szybka błyskawica
Po rozłogu leciał w czwał.
Za nim ruszył tłum młodzieży,
I już trąbka hasła nie gra.
Ktoż tu wygra? ktoż tu przegra?....
Jak rzekł Batyr, piérwszy bieży
Po rozłogu, ponad rzeką.
Krasawica staje w dali,
Chciała spóyrzeć czy daleko
Zalotnicy się zostali.
Czemuż wzgardę okiem kłamie,
I rumieni się i lęka?
Cóż to spadło na jey ramie?
Ach! wszakto Batyra ręka.

Alexander Chodźko.

Nadzieja *z Szyllera.*

I.

Ludzie i mówią i marzą wiele,
Lepszość dni przyszłych rojąc z powicia;
Ci jak na fali, w żegludze życia
Płyną i gonią szczęśliwsze cele.
Swiat raz zstarzały, znowu młodnieje,
Człek zawsze lepsze karmi nadzieje.

(*) Tak się tam zowie wicher bardzo gwałtowny, który gdy panuie, nikt z mieszkania nie wychodzi.

II.

Ta u bram życia wskazuje mu wieńce,
Ona jak cacko igra przy piastunie;
Jey czarodzieyski blask ślepi młodzieńce,
Z nią i zgrzybiałość zamyka się w trunie,
Bo choć do grobu zstępuje z kolei,
Jeszcze na grobie szczepi kwiat nadziei.

III.

Och! ta myśl nie jest zwodnioza i dzika,
Wylęgła gdzieś tam na mozgu wietrznika!
W sercu przeczucie objawia się wieszcze,
Na lepsze Bóg tu zachował człowieka:
Ciało okrzepnie, życie ucieka,
Żyjąca dusza spodziewa się jeszcze.

Julian Korsak.